Nr. 33. We Lwowie dnia 18. sierpnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wizja protestu.

(Fantazja).

Scena I.

(Na scenie wejście do wspaniałego pałacu).
(Drzwi wchodowe przepyszne, ogromne, w tej chwili jeszcze zamknięte. Przed pałacem dwa rzędy kolumn rzeźbionych).
(Pomiędzy kolumnami straż się przechadza:)

I. Strażnik (ziewając). Która godzina?

II. Strażnik. A cóż ci potem?

I. Strażnik. No, radbym przecie wiedział, czy prędko?

Dowódca straży (zbliża się do nich). A po co wiedzieć? Nietrzeba.

Będzie, gdy będzie, a kiedy? nie wasze w tem rozumy. (Oddala się zwolna. Milczenie).

I. Strażnik (gdy się dowódca całkiem oddalił, gniewnie mówi): Jaki to pan jest, patrzajcie! Zaczekaj, bratku! już wkrótce odmieni się bardzo wiele...

II. Strażnik. Hi! i ty wierzysz?

III. Strażnik (podchodząc). O co idzie? w co wierzyć?

I. Strażnik. Słuchaj, on wątpi. —

A przecież oddawna rozchodzą się wieści, że dzisiaj . . . .

Nie wiem! Ja biedak, skądbym wiedział dokładnie, ale to pewne, że staną się wielkie rzeczy.

II. Strażnik. Słuchaj! on wierzy. —

Powiedz, z jakiego miejsca, czy źródła bierzesz tę wiarę ciągłą, tę jakąś dziwną nadzieję tak niespokojną, że czegoś ciągle czeka?

I. Strażnik. Moje czekanie jest tęskne, ma wiecznie rozwarte oczy.

(Po chwili). Skąd ono przyszło?
Ha! nie wiem. —

A może z tego, że u nas toć przecie wszystko czeka.

Hej kraina płowa i smętna!
Gdybyście kiedy widzieli!
A tęskni jako rok długi, okrągły: od jesieni,
czeka do wiosny, od wiosny znów do jesieni.
Bór rozegrany w szumiącym pacierzu,
Który jest wesół o świcie, a bardzo smutny wieczorem. —
I wioska biedna przy ziemi. —
I nasze rozległe pole.
Hej! pole nasze jak roztocz: niezmierne,
Oczyma nieprzebieżone, żałośne. —
Ot, zda się cicho mówić niebiosom: „Szerokie jesteś ty, niebo Boże, aleć ja chyba od ciebie mniejsze nie będę.
Bo kto mię ogarnie, jedno ty, które widzisz?
I tak przez lata patrzymy na się wzajemnie:
w twojem patrzaniu może — opieka?
a w mojem to zawdy jakaś milcząca — wiara“.

II. Strażnik. Ba! ba! to dziwne!

III. Strażnik. Ale ot, co do wiary, nie sądźcie, ażeby dzisiaj, czy kiedyś z narady wielkich powstały wielkie rzeczy. —

Ja starszy, z doświadczenia powiadam, że może słowa będą — ogromne, lecz potem czyny — maleńkie.

Albo i nawet wcale nie będzie czynu!
Nic się nie zmieni, nic się nie zmieni,
po co nadzieja daremna?

I. Strażnik (ze smutkiem głowę pochyla).

Dowódca. Ej!... który!... do mnie!... żywo!

I. Strażnik (idzie ku niemu).

Dowódca (rozkaz jakiś wydaje, poczem strażnik odchodzi).

Scena II.

(Pomiędzy kolumnami widać przechodniów, zaglądających ciekawie a niespokojnie).
(Stopniowo tworzy się spora gromada: są tam młodzi i starsi, kobiety, studenci i jakaś delegacja z papierami w ręku, z wyrazem uroczystości, powagi).

Jeden (z gromady). Aha! to tutaj...

Kobieta. Boże mój mocny!

Druga kobieta. Oby... doprawdy ludziom... na dobre, na zagojenie ran, na pociechę... (urywa).

Głos (w tłumie). A tak? nic z tego! darmo!

Młody człowiek. Pocoście przyszli gromadą?

Jeden z tłumu. Ano... potrzeba wszędzie kołatać.

Drugi. Chociaż nadziei mało.

Młody człowiek. Co? prosić chcecie... i żebrać? Gdzie dumy waszej ślady ostatnie?
Gdzie reszta godności waszej?
Chór kobiet (cicho). Panie, matki jesteśmy!
Poważny jegomość. A zresztą szaleństwem byłoby przypuszczać, że głos wasz kędyś dosięże. Stłumią go oto w zarodku, a więc daremnie w proch upadacie, daremnie!
Chór kobiet (znowu). Panie, matki jesteśmy.
Delegat. Tak pojedyńcze głosy to na nic! Wybuch, jęk, nie przekona, imponować nie będzie, nie wzruszy!
Ale patrzajcie: tutaj memorjał wyczerpujący, dokładny...
Kto jest autorem, nie powiem!
Dość że zaopatrzony w podpisy... no i w treści swej wielce ciekawy powinien zwrócić uwagę.
Kilku z delegacji. Nie wątpię!
Nie wątpię!
Liczymy tylko na to.
Dowódca straży (zbliża się szybko). Panowie! tutaj... nie wolno!
Głosy w tłumie. Przybysze jesteśmy z daleka!
Wędrowcy na dzień dzisiejszy... z daleka!
Dowódca (szorstko). Mnie nic do tego! pilnować muszę, nie wpuszczać!
Głosy w tłumie. Żądania mamy i skargi...
Protest niesiemy i krzyk!
Głos delegata. Nie! nie! rozumnie bronić się będziem, tłumaczyć . . . .
Dowódca straży. Mnie nic do tego, powtarzam! (Słychać turkot za sceną; po chwili przed pałacem pojawia się jakiś dygnitarz z orszakiem).
Dowódca. Oto już wielcy goście nadchodzą! prędzej! umykać! prędzej, panowie, bo każę ludziom swoim — rozpędzić!
Student (do swoich). A no... widzicie! jak zawsze.
Dygnitarz (zbliża się zwolna). Co to za hałas i natłok?
Głos w tłumie. Poznajemy cię, panie!
Drugi. On z naszych stron jest!... Opiekun!
Trzeci. Z naszego kraju jest!... pan!
Czwarty. Północny pan! ha! wiem dobrze!...
Głosy. Minister! minister! minister!
Minister rosyjski (przez chwilę słuchał uważnie, potem brwi gniewnie marszczy, wybucha): I ja was także poznałem! Zawsze i wszędzie na jaw wystąpią . . . .
Robactwo przeklęte, zmiażdżone, co jeszcze uparcie żyje!
(Do dowódcy). Precz z tem! rozpędzić!
Głosy młodych. Hola! mój panie!
Delegat. Bracia, zaklinam, proszę o spokój! (do ministra). Przybyliśmy tutaj, aby statecznie rzeczy roztrząsnąć; nie samozwańczo przychodzim, ale w imieniu narodu.
Minister (krótko). Narodu tego — niema!
Student (do swoich) Oto macie: jest skutek!
Minister (do dowódcy straży). Gdzie policja? niech przyjdzie! powyganiać mi zaraz natrętów!
(Na znak dowódcy straż się przybliża powoli).
(Tłum się nie ruszył).
(Na scenie pojawia się drugi dostojnik z orszakiem).
Głos w tłumie. Oho! dygnitarz z państwa bojaźni Bożej! nie żarty!
Minister pruski. Po co tu przyszli ci ludzie?
W tłumie okrzyk chóralny. Mówić będziemy!
Minister pruski. Mówić? wy? to napróżno! W szeregu głosów żyjących waszego głosu niema.
Młody człowiek (z goryczą). Nie będziecie o tem rozstrzygać. Znamy te sądy wasze, okropne nad upadłemi szyderstwo, gdy sędzią bywa — kat.
Dzisiaj nie do was przemówim, ale do świata całego wybuchniem krzykiem straszliwym, iż prawo mamy — żyć.
Minister pruski (przez zęby). Widać jeszcze nie dosyć tępiono żywioł szkodliwy, bo oto drgawki pośmiertne, choć zda się, na wierzchu cicho.—
Minister rosyjski. Gdzie tu policja? co za porządek? U nasby w jednej sekundzie stłumiono motłoch i koniec!
(Ruch w głębi sceny: nadchodzą gromadnie dyplomaci różnych krajów, dygnitarze, urzędnicy).
Jeden z nich lord-minister zapytuje zdziwiony Co to? Czy jakaś dziwna pielgrzymka?
Głosy w tłumie. Pielgrzymka protestu, panie —
Pielgrzymka skargi.
Pielgrzymka strasznego bólu.
Minister republikański. Kto tutaj przyszedł?
Tłum (chórem). Protestujący!
Minister. Ja nie rozumiem!
Kilku dyplomatów. Nie można słów tych rozumieć.
Stary człowiek. Przywędrowaliśmy oto z ziemi swojej żałobnej, bo ogłoszono, że tutaj odprawi się zjazd niebywały, dobroczynny jak słońce, a wielki jak pomnikowe dzieło...
Delegat. Za pozwoleniem, ja wytłumaczę! Wiemy, iż zjazd ten ma zamiar szlachetny nad biednym światem podnieść wysoko sztandar pokoju, sprawiedliwości i zgody ludów na prawie ludów opartej, a otóż...
Lord minister (przerywa). Kto wy jesteście?
Stary człowiek Imię nasze niedawne. —
Student. Zapomnieć trudno było
Minister republikański. Świat dzisiejszy ma pamięć jedno na rzeczy — dzisiejsze. A wczoraj... to dla nas tylko — zero!

(C. d. n.) *Pereświt.*

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

5)

wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Wśród takich okoliczności przybyłem do Chochołowa za dekretem konsystorskim w r. 1833 jako nauczyciel parafialny i organista. Dochody nauczyciela nie przenosiły 30 fl. cm. a wraz z dochodami organisty wszystko nie przenosiło 200 fl. cm., licząc w to wszelkie po parafji żebraniny.

Proboszcz — człowiek skąpiec, którego Bogiem pieniądze, nieużyty, nieczuły, z wszystkiego tylko ciągnął korzyści dla siebie; nie obchodziła go parafja, kościół, szkoła, a dla bliźniego obojętny, zimny.— Nie lubił prawdy i chciał, by tylko jemu przyznawano słuszność, światło, — a u którego jak jednego tak drugiego nie było.

Od parafjan dla żdzierstw, nieczułości na nędzę, był niecierpiany. Gdy wikarych przeciwnie lud szanował, bo było kilku pomiędzy nimi — za mego bycia — poczciwych, prawych ludzi.

Ożeniłem się tam w r. 1834 z Józefą Homelską z Makowa i oddałem się zupełnie swemu zawodowi, a w szczególności szkole, którą już mój poprzednik z gorliwością utrzymywał. Zastałem tam lud modlący się z książki, a osobliwie prawie wszystkie kobiety. Starałem się najszczególniej, by dzieci umiały dobrze czytać, pisać i rachować po polsku, a po niemiecku tylko tych uczyłem, którzy chcieli. Pracę moją ocenił konsystorz, bo mię w czasie mego tam bycia dwoma piśmiennemi pochwałami obdarzył, lecz proboszcz nie lubił mojej gorliwości tak, jak i baron Borowski.—

Mówił mi pierwszy: „Po co sobie pan tyle pracy zadajesz, nie będąc za to przyzwoicie nagrodzonym...“, a baron mówił: „Nie ucz ich nic, tylko religji i posłuszeństwa, a i trochę czytać z książki do modlenia. Żebyś mi ich nie uczył pisać!..“ — To były bodźce!



JAN KANTY ANDRUSIKIEWICZ.

Lecz na to nie zważałem i chciałem tym sposobem być ludowi użytecznym i prawdziwie znalazłem w tem kłopotem wielką przyjemność, a gdym pedagogikę Trentowskiego przeczytał, skorzystałem z jego rady i podwoiłem moje usiłowania. Było to prawda już w końcu mego tam bycia, ale się to jeszcze wszystko na czas przydało.

Miałem własną, do 700 książek wynoszącą biblioteczkę, której zbytnie godziny poświęcałem, i tem sobie życie w dwójnasób uprzyjemniałem, co się memu proboszczowi nie podobało, bo mi mawiał: „Po co to pan tyle czytasz, to nie w pańskiem stanowisku... lepiej mniej wiedzieć“. Gniewała mię ta jego mowa, lecz musiałem dla chleba milczeć.

Pożyczałem ludziom chcącym czytać — najprzód „Żywoty Świętych“, potem „Szkółkę niedzielną“, powieści moralne, „Historję polską“, „Przyjaciela ludu“, różne dla ludu książeczki. Czytali tylko w czasie wolnym od pracy — w święta. Tych — co odnosili i o nowe książki prosili, pokrótce egzaminowałem — czy zrozumieli co czytali; a co nie zrozumieli, sami się czasem pytali, lub im objaśniałem. —

W rzeczy procesu ich nie mieszałem się, dlaczego baron dosyć mię lubił, a oni pracę uznając — szanowali. I byłbym miał pokój przez pobyt barona w tem państwie, gdyby proboszcz mój nie był z nim zadarł.—

Ja — jako podwładny proboszcza — odpisywałem, co mi polecił, z czego baron zaczął mnie prześladować, i skarżyć do cyrkułu przez swego

mandatarjusza Franciszka Kulczyckiego — jako buntownika i niebezpiecznego człowieka. Chłopów przez tego mandatara zaczął bardziej uciemiężać. Ja poznawszy dokładnie proces i widząc ich krzywdę zacząłem im wraz z proboszczem pomagać, który koncept miał dobry, a chłopi tyloletniem procesowaniem się zubożeli i już ustawali sie skarżyć, aż naszemi pisaniami tyleśmy dokazali, że nadworna kancelarja nakazała wszystko na nowo dochodzić. —

Szło to piorunem. Komisarz Skiba przybył i kazał obrać deputowanych. Wskazałem gromadom chłopów na deputowanych których prawość znałem, a miałem już wtenczas wpływ na nich i posiadałem ich zaufanie. Obrali — jak wskazałem i po odjeździe proboszcza, który się na czas samochcącego prześladowania barona uchylił, prowadziłem im dalej proces, bez najmniejszej chęci wynagrodzenia i jak szkołą z ochoty i przekonania dla dobra ludu, tak i tu procesem o ile miałem zdolności — zająłem się.

Chłopi tyloletniemi krzywdami rozgoryczeni przekonali się o niesprawiedliwości rządu, co ja potem sam podsycałem. Będąc prześladowany przez barona, później niecierpiany dla tego przez ks. Wilczka, który chciał moje zaufanie u chłopów osłabić, ofiarował mi korzystne leśniczostwo w dobrach; gdy mu nieudolnością się wymówiłem, ofiarował mi taką samą posadę jak miałem w dobrach w Czarnym Dunajcu; a gdy i tego nie przyjąłem — poznał co myślę i odgroził mi prześladowaniem. Ja — raz sobie wytkniętej drogi prawej porzucić nie chciałem, ani myślałem nadużyć zaufania, które chłopi, a szczególniej plenipotenci we mnie położyli.

W takim stanie zastał mię rok 1845, i gdy po powodzi wielkiej, byłej u nas w lipcu, przybył śp. ksiądz Michał Głowacki z drugim księdzem z Krakowa, który miał polecenie zbadać stan rzeczy i usposobienie ludu w górach do nastąpić mającego powstania, ja przez przeciąg mego w górach pobytu, poznawszy dużo ludzi niekontentych z rządów niemieckich, którzy sobie lepsze czasy przypominali, — a polegając zupełnie na ś. p. ks. Michale Głowackim, wikarym z Poronina, w sąsiedztwie naszej parafii będącym, który mi książki za granicą wychodzące, naszej Polski się tyczące pożyczał, dla którego miałem wielki szacunek i poniekąd wdzięczność, — przyjąłem przez niego na mnie włożony obowiązek przygotowania ludzi do nastąpić mającego powstania, w którem oni w pierwszej chwili nie mieli być użytymi, tylko miał być napad na miasta.

Otrzymałem kilka broszurek stosownych do tego celu; a widząc ks. Głowackiego — człowieka 43 lat mającego, światłego, z poświęceniem dla Ojczyzny, szanowanego powszechnie tak od równych sobie jak i u ludu, który się gorliwie tą sprawą zajął, — wziąłem się serdecznie do tej pracy.

Z początku ci tylko, co czytali książki odemnie zostali pomału wciągnięci, dalej deputowani, a potem znaczniejsi z gromady chłopi, którzy mieli poniekąd zaufanie i dobrą opinję. Prawie cała niegdyś opozycja barońska była za sprawą Narodową. Urzędników tak dominikalnych jak i gromadzkich, nieprzychylnych nam starałem się w złe światło u gromad wprowadzić; zaś dobrych wójtów i deputowanych wystawiałem w najlepszem świetle.

Właśnie było upłynęło już trzy miesiące, jak tak tajemniczo rzeczy przygotowywałem, gdy naraz wciągnięty do tej tajemnicy wikary, ksiądz godny i pełen światła przybył do mnie z Radomskiego ze Skaryszowa i zaczął nietylko odradzać mi propagandę chłopów już za daleko posuniętą, ale nawet zaczął tego księdza z Krakowa nie w najlepszem świetle przedstawiać, tak jak i całe nasze przyszłe powstanie czystą halaburdą, do niczego dobrego nie prowadzącą, nazywał. Radził mi postępować tak jak wprzód, tj. abym lud oświecał, że tym tylko sposobem Polskę pewnie dźwignąć można, i odwoływał się na Trentowskiego, który w swej pedagogice tak radzi. Rady i przedstawienia były słuszne, ale, że uznałem zwierzchnictwo nad sobą ks. Głowackiego, który był od niego starszy i niemniej światły, odpowiedziałem mu: „Jeżeli ksiądz Głowacki po takiem przedstawieniu, jak mnie zrobiliście, ustąpi, to i ja wtenczas“, a inaczej, — niech odemnie tego nie żąda.

Powiedział mi potem, że wprost od niego do mnie jedzie, i że „u niego te przedstawienia nic nie znaczyły, owszem — przyjął je odemnie z oburzeniem i powiedział, że zostaje raz wyrzeczonemu słowu swemu wierny i zachęcał mię, być memu danemu słowu posłusznym“. Żałował mię, że się narażam bezowocnie, gdy jeszcze mogę być użyteczniejszym krajowi. Lecz to nie zmieniło mojego postanowienia i ja żałowałem znowu jego, że się zanadto przejął sposobem myślenia Trentowskiego w tym względzie. Odjechał odemnie i został wkrótce o kilka mil dalej przeniesiony —

Ja nie zraziłem się tem przedstawieniem i dawałem czytać umiejącym, a już wciągnionym różne książki tyczące się naszej sprawy, budziłem w nich ducha narodowego i postąpiłem już był znacznie, gdy przybył do mnie 1. listopada 1845 w góry wysłany propagator Julian Goslar, z którym się poznałem w drodze do Morskiego Oka. Lecz to poznanie było kilkoma laty wprzód, które prawie w zapomnienie już poszło; ale tego przywiózł do mnie inny mój znajomy, człowiek tak myślący, jak ja. — (C. d. n.)

Mikołaj I. i Królestwo kongresowe.

N. Szildier: „Mikołaj I. i Polska“.

(Ciąg dalszy).

7)

VI.

A cesarzewicz? To, że nie ruszył z Alei Ujazdowskich na Warszawę, potępiło go w oczach opinji rosyjskiej. Wyrzucano mu i podpisanie umowy w Wierzbnie. Zdaniem gen. Benkendorffa wzmocniło to niepomiernie powstanie, bo nawet część armji polskiej nie była zdecydowaną. Czy to wynikało tylko z niezdolności cesarzewicza do podjęcia śmiałej akcji wojskowej? Chyba — nie. Cesarzewicz nie chciał poprostu przykładać ręki do burzenia Królestwa.

W dniu 13/XII 1830 r. pisał do brata z Włodawy: „Dzieło lat 16 zniszczyli podchorążowie, studenci i młodzi oficerowie. Zaświadczyć tu bowiem muszę, jest to moim obowiązkiem, że ludność zamożniejsza jest w rozpaczy. Armja nie mogła się oprzeć temu ruchowi. Przykry to koniec mojej działalności służbowej. Proszę Boga, żeby armja polska wróciła na drogę honoru...“

Ale to były złudzenia. „Rozpoczynała się, mówi Szildier, era strasznego porachunku między Rosją i Polską“. W takich warunkach działalność Konstantego mogła tylko paraliżować działania wojenne Rosjan, tak jak Chłopicki paraliżował nasze. Na ugodę — nie było miejsca.

Pierwotnie cesarz wydał gen. Rosenowi rozkaz skoncentrowania korpusu litewskiego w Brześciu i Białymstoku, i maszerowania na Warszawę; Pahlen miał poprzeć to działanie. Ale cofnięto to rozporządzenie prędko, zbierano większe siły. Dybicz obejmował dowództwo, Tol—znowu szefostwo sztabu.

Mikołaj odpowiadał Konstantemu na jego wstawiennictwo za Królestwem — groźnie: „Środki ugody wyczerpane. Która z dwóch stron ma zginąć: Polska czy Rosja, bo to walka na śmierć? Proszę zadecydować!“

W dniu 6/II 1831 Dybicz wkroczył w granice Królestwa.

Cesarzewicz miał odegrać decydującą rolę dopiero w bitwie pod Grochowem.

Bitwa ta sprawia pewną trudność i naszym i rosyjskim historykom wojskowym. Była ona przez nas przegraną zupełnie, odwrót — stawał się popłochem, linja odwrotu prowadziła tylko przez most na Wiśle. Był jeden moment, przed odwrotem Skrzyneckiego, gdy zapowiadała się „druga Berezyna“, jak powiedział Mikołaj.

Moment ten tak opisał gen. Puzyrewskij: „Dybicz, ucieszony przybyciem gen. Szachowskaho, oznajmił grenadjerom, że honor zakończenia bitwy do nich należy. Kazał zdjąć tornistry i sam poprowadził ich na linję bojową... Gdy grenadjerzy podeszli do pozycji nieprzyjacielskiej, dzień miał się już ku końcowi, była godzina 5... Hr. Dybicz do pewnem wahaniu kazał przerwać bitwę“.

I tu niedomówienie, i tu brak odpowiedzi. Przecież atak dalszy, przy ówczesnym nastroju Królestwa, kończył powstanie. Dybicz miał powiedzieć przed śmiercią Orłowowi, że zgubną radę zaprzestania walki dał mu jeden generał' nie chciał jednakże wymienić jego nazwiska »Dano mi, mówił, tą zgubną radę, poszedłszy za nią — zawiniłem w oczach cesarstwa i cesarza. Ale trudno, głównodowodzący sam odpowiada za swe rozporządzenia“.

Gen. Benkendorff, którego pamiętniki starannie poprawiał Mikołaj, powiada, że generałem tym był cesarzewicz. Mikołaj nie zrobił tu — żadnego zastrzeżenia.

Istnieje w rękopisie pamiętnik E. Stogowa, który na podstawie słów naocznego świadka tak opisuje scenę przerwania bitwy: „Przy namiocie Dybicza zostałem ja tylko. Patrzę — jedzie galopem cesarzewicz, podjechał i mówi: „Panie feldmarszałku! — winszuję wygranej!“ Dybicz, jak gdyby nie widział cesarzewicza, nie ruszył się z miejsca, milczy. Cesarzewicz krzyczy: „Panie feldmarszałku! — Polaków rżną jak baranów! Miłosierdzia!“ Dybicz nie poruszył się nawet. „Panie feldmarszałku! Do pana mówi brat cesarza!“ Dybicz zerwał się na równe nogi, salutuje i pyta „Co W. C. M. rozkaże?“ „Skończyć rzeź!“ Dybicz zwrócił się do podjeżdżających adjutantów i zawołał: „Wstrzymać działania na całej linji!“

Dalsza korespondencja Konstantego z Mikołajem, usunięcie bezzwłoczne Konstantego z armji— czynią więcej niż prawdopodobnem — to przypuszczenie.

Liczono jednak na zdobycie Warszawy. Mikołaj tak określał w tym czasie warunki tego poddania się (5/III) Poddanie się winno być zupełne, na łaskę i niełaskę. Zatrzymać należy więcej winnych, a drobiazg puścić wolno. Więcej winnymi są: 1) uczestnicy napadu na Belweder, 2) członkowie rządu rewolucyjnego, 3) przedewszystkiem (surtout) Czartoryski i Lelewel, oraz inni niegodziwcy w tym rodzaju. W mieście głównodowodzący niech ustanowi taki zarząd, jaki uzna za stosowny. Zamek królewski można zamienić na szpital, oszczędzając tylko gabinet Aleksandra. Regalia winny być umieszczone odrazu w miejscu bezpiecznem. Należy natychmiast opieczętować bibljoteki: uniwersytecką i Towarzystwa Przyjaciół nauk. Na załodze zostawić gwardję. W innym zaś liście do Dybicza pisał „Moje postanowienia są stanowcze Poddanie się musi być bezwzględnem. Obiecuję tylko amnestję dla mniej winnych, a nic po za tem. Rozumie się, że pozostawię krajowi pewne jego zwyczaje administracyjne, ale nie dam przy kapitulacji żadnych

zaręczeń konstytucyjnych. Żadnych więc nie przyjmować warunków kapitulacji".

Ale teraz nie było oto tak łatwo, powstanie odtąd miało się pogłębiać. Wojna, od której, jak mówił Mikołaj, zależał byt polityczny Rosji, wchodziła dla niej w fazę niepowodzeń. Odbiciem jej jest znana z przekładu dzieła ks. Szczerbatowa, pesymistyczna korespondencja Dybicza.

Wracamy do cesarzewicza. Całe jego istnienie związanem było z istnieniem Królestwa, znajdował się teraz w zupełnem zawieszeniu życiowem: decyzja Mikołaja co do Królestwa miała być także decyzją co do cesarzewicza.

Mikołaj już na samym początku kampanji zastanawiał się nad tem, uwagi swoje spisywał.

Rosja, myślał cesarz, niema żadnego interesu w utrzymaniu kraju, który tak świeżo okazał swą niewdzięczność. Polska była zawsze współzawodniczką i wrogiem Rosji. Dowodem r. 1812. Polacy byli wtedy najzawziętszymi z najezdników. Aleksander I. odpłacił im za to wspaniałomyślnie — odrodzeniem Polski w r. 1815. Cóż zyskał na tem? Królestwo kongresowe miało zabezpieczyć interesa Rosji, miało być szczęśliwem pod opieką Rosji. Polska rzeczywiście doszła do dużego dobrobytu, zebrała nawet kapitał rezerwowy, którym teraz pokrywa koszta wojny. Armja polska stanowi kadry 100 tysięcznej armji. Przemysł polski rozkwitł kosztem rosyjskiego. *Wacław Tokarz.*

(Dok. nast.)

7)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Setki rozmaitych owoców, spora ilość ziarn zbożowych, nadto mleko zwierząt udomowionych, służyły i służą człowiekowi do osiągnięcia celów wyżej wymienionych.

Sposoby przyrządzania napojów wyskokowych, były w wielu wypadkach zawiłej natury, otóż gdy zważymy, że tą rubryką wynalazków nie kierowała wiedza, lecz, że tu postępowano po omacku tylko, to będziemy mięli wyobrażenie, jak nieustannie, usilnie i upornie pracowała ludzkość, szukając środków do zaspokajania pragnienia swego — stać się chociaż na chwilę równą bogom. Bo trzeba wiedzieć, że właśnie pierwotne ludy widziały w napojach wyskokowych środek niezawodny do pozyskania przymiotów, przez siebie uznawanych za boskie, a któremi szczodrze obdzielały twory swej naiwnej wyobraźni. Jest to taki sam przesąd, jaki każe obecnym artystom i poetom szukać natchnienia w kieliszku. Najoryginalniejsze pomysły powstawały w głowach śmiertelników, poszukujących coraz nowych środków do upajania się. Jeden z takich pomysłów przywiodę tutaj, ażeby wykazać po jakich to krętych, okolicznych, często dziecinnych drogach, wędrowała wynalazczość człowieka w dziedzinie odkryć, nie raz nawet genjalnych, dotyczących napojów alkoholicznych.

Gdy Kozacy po przybyciu na Kamczatkę nie znaleźli tam ilości dostatecznej materjału, potrzebnego do pędzenia wódki, gdy im było za mało jagód czernicowych (Vaccinium myrtillus) i jagód „Żymołosti" (Lonicera kamtschatica), z których sami Kamczadale wyrabiali trunki upajające, nazwane przez nich napojami wesołości, zabrali się Kozacy, wobec zdumionych tubylców, do pędzenia wódki z roślin, używanych na Kamczatce za pożywienie zimowe, mianowicie z rośliny, zwanej „Kiprej" (Epilobium) i drugiej, noszącej miano „Słodka trawa" (Heracleum dulce). Rezultaty prób okazały się wyśmienite wódka kamczacka bowiem, szczególniej gdy używano do jej wyrobu pewną ilość Epilobium, miała „nieocenione własności", z których dwie główne przytoczę: 1) „stan upojenia trwał daleko dłużej, aniżeli przy piciu zwykłej żytniówki, bo aż dwie całe doby". 2) Pijany od tej wódki pozyskiwał „energję niepospolitą", więc przymiot bardzo potrzebny dla wszelkich rządców. Ale ostatecznie i roślin, wyżej wymienionych było za mało dla Kozaków, wtedy to wpadli oni na pomysł użycia bardzo obfitego materjału na półwyspie, a mianowicie — gniłej ryby, dla celów destylacji spirytusu, gdyby ta próba się udała, powiadali Kozacy, wtedy raj prawdziwy mianoby na Kamczatce.

Próba jakkolwiek się udała, według doniesień Kozaków, ale niestety, dystylat nie miał żadnej mocy upajającej, a do tego zapach jego, nawet dla niewybrednego powonienia dystylatorów, był trochę za nieprzyjemny. Przy tej okoliczności, potrącając o pomysłowość Kozaków kamczackich, musimy zaznaczyć fakt uboczny, ale mający wielkie znaczenie, bo niezmierną doniosłość dziejową. Faktem tym jest stwierdzenie, że w miarę, jak się wzmagała produkcja wódki na Kamczatce i jej używanie, rozszerzały się też i granice bezprawia i potężniały zwierzęcość i barbarzyństwo Kozaków przy traktowaniu ludności tubylczej. Fakt ten, spostrzegany i gdzie-

indziej, pozwala na wnioski ogólnej doniosłości, do których wrócimy poniżej.

Chemikami, lepszymi od bohaterów kamczackich, chyba nie byli ludzie przedhistoryczni, próby więc wszelakiego rodzaju musiały być mnogie, w każdym jednak razie, prace włożone w pomysły alkoholiczne przez tysiące tysięcy pokoleń, nie poszły na marne i my dzisiaj, spadkobiercy całej spuścizny, radować się możemy przy żniwie obfitem.

Lecz nie tylko człowiek, owe dziecię najmłodsze epoki geologicznej obecnej, ma jakąś instynktową namiętność do trunków alkoholicznych, ale wraz z nim i wiele zwierząt są tym popędem instynktowym szczodrze uposażone Tak np. motyle dają się łatwo łowić na przynętę z jabłecznika i z eteru, w ten sam sposób łowić można i inne owady. Muchy są wielce łakome na piwo i miody, również Prusaki i Tarakany. Pszczołowate owady, w kraju ussuryjskim, wyszukują te miejsca na klonach, zwanych tam cukrowymi, gdzie sok z drzewa płynący podległ już naturalnemu procesowi fermentacji, gdy czuć już zdaleka zapach alkoholu. Gęsi dzikie bywają łowione na ziarna, wymoczone w wódce. Tajemnica tuczenia gęsi, ma jakoby polegać na alkoholizacji okazów karmionych. Wątroba gęsia w pasztetach sztrasburskich, byłaby produktem zwyrodnienia tłuszczowego organu, o którym mowa, przy pomocy alkoholu. Proces podobny otłuszczenia wątroby, obserwuje się często u alkoholików nałogowych.

Niedźwiedzie lubią namiętnie wódkę, piwo i miody, nadzieja dostania porcji napojów wyskokowych, ożywia ich niezmiernie; radują się one wtedy, jak ludzie przed bankietem. Słonie są amatorami rumu i araku. Małpy upajają się chętnie wymienionemi trunkami i podobnie jak ludzie cierpią po wytrzeźwieniu się, na niesmak życia, ból głowy etc., którą to chorobę nazywają Niemcy „katzenjammer". Psy i kozły przyzwyczajają się do picia wódki i piwa i stają się nałogowymi pijakami.

Trudno jest wytłumaczyć, skąd bierze początek popęd do napojów alkoholicznych u zwierząt, jak również nie łatwo jest pojąć i poznać źródło pierwotne popędu tego u człowieka. Dzisiejsza wszakże jego namiętność jest właściwością dziedziczną, bo cały szereg pokoleń przeszedł już przez szkołę pijaństwa. Ażeby się o tem przekonać, dość będzie poznać najważniejsze daty z przeszłości.

Dr. Benedykt Dybowski.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

H. Konic: „Ustawa z roku 1807" Bibljoteka Warszawska marzec, r. 1900.

Autor należy do szczupłego grona badaczy dziejów Księstwa Warszawskiego. Jego prace dotyczą zwykle tej roboty Stasziców, Łubieńskich, Potockich, która szła ręka w rękę z robotą wojskowo polityczną Dąbrowskich i Poniatowskich, i wśród szczęku oręża, w obozie nieomal — potrafiła podtrzymywać i pogłębiać spuściznę usiłowań kulturalnych —Sejmu Wielkiego.

Obecna praca podejmuje dawny, Lelewelowski jeszcze temat, charakterystyki ustawy konstytucyjnej z roku 1807.

Ustawa ta nie cieszyła się nigdy uznaniem naszych historyków. Już pamiętnikarze współcześni notowali tylko tę okoliczność, że została ona zredagowaną w trakcie rozmowy, na kolanie nieomal. Lelewel nazwał budowę konstytucyjną Księstwa „monarchią samowładną w formy konstitucijne przybraną;« łagodniej, choć również z niechęcią, ocenili ją Ostrowski i Skarbek.

Odosobnionym pozostał optymistyczny sąd Kołłątaja, poparty chyba przez cudzoziemca — Bignona, mieniącego tę ustawę najlepszą z ustaw, jakie Francja nadała kiedykolwiek obcym narodom.

Pessymizm ten w sądach — wynikał z faktu, że ustawę konstytucyjną rozważano li tylko z punktu widzenia polityczno prawnego, skazując się tem samem na wybitną jednostronność w oświetleniu, w ocenie; żadna bowiem z naszych ustaw konstytucyjnych nie wymaga w tym stopniu oświetlenia czysto historycznego, jak ustawa z roku 1807.

Wynikła ona, oktrojowaną przez Napoleona została na podstawie zobowiązania w piątym paragrafie przymierza Tylżyckiego przyjętego. Przesądzało to z góry o jej charakterze ogólnym: miała ona być zgodną z widokami Rosji na przyszły rozwój sprawy polskiej, miała być pewnego rodzaju gwarancją, dla Aleksandra I. Nie tu miejsce na roztrząsanie istoty dzieła Tylżyckiego, dość stwierdzić, że Księstwo od samej chwili swego powstania stało się czemś zupełnie różnem od tego, czem miało być w myśl swego twórcy istotnego — Aleksandra I.

Wobec tego konstytucja stawała się raczej aktem międzynarodowym, niż miarodajną podstawą dla istotnego rozwoju nowo powstałego organizmu politycznego. Jej charakter ogólnikowy, pośpiech w jej zredagowaniu — składały się w wyższym jeszcze stopniu na to, że kontury nakreślone przez nią, kształt realny przybrać miały dopiero w zależności od rozwoju stosunków, od ludzi, którym wprowadzenie w życie konstytucji powierzano. A przecież stosunki układały się w duchu stopniowego rozkładu przymierza francusko-rosyjskiego, a ludźmi czynu, działaczami Księstwa — byli epigonowie Sejmu Wielkiego lub politycy z okresu legionów.

To też dzieło roku 1807, ustawa konstytucyjna Księstwa, sama w sobie pod względem polityczno-prawnym rozważana, ma duże znaczenie dla historji planów Tylżyckich; o ile zaś ma być mowa o istotnem

życiu państwowem Księstwa Warszawskiego — jedynie miarodajnemi mogą być dane czysto rzeczowe.

Powyższe uwagi nasunęły się nam z tej racji, że i p. Konic w ciekawej swej rozprawce — stanął na gruncie li tylko polityczno prawnym, nie dość uwzględnił stosunki czysto rzeczowe.

W myśl ustawy np. parlamentaryzm Księstwa ujętym został w bardzo ściśle karby. P. Konic przyznaje dużą wartość — demokratycznemu, jak na nasze stosunki owoczesne, systematowi wyborczemu, stwierdza, że niejednokrotnie sejm wyłamywał się z ram ustawy, a jednak dochodzi ostatecznie do wniosku, że były to raczej pozory parlamentaryzmu, że faktycznie cała władza ustawodawcza spoczywała w ręku księcia i Rady Stanu, a sejm pozbawionym został najważniejszych rękojmi oddziaływania na stosunki krajowe.

Stwierdzić tutaj musimy, dobitniej niż to uczynił p. Konic, że po dziś dzień sejmy Księstwa znamy li tylko z paru mów wydanych, z pamiętników Bignona, Łubieńskiego i Koźmiana. Djarjuszy nie znamy wcale.

Już jednak z tych ułamkowych, rozproszonych notat wiemy, że sejm nie bardzo liczył się z ustawą roku 1807, że urządzano np. posiedzenia bez marszałka, na których uchwalono petycje do Księcia, petycje przyjmowane ostatecznie przez Fryderyka Augusta, że faktycznie nie tylko uchwalano etat, ale kontrolowano wydatki, omawiano działalność administracji. To też nie pora jeszcze do wydawania ostatecznego wyroku o wartości parlamentaryzmu owoczesnego. Faktycznie bowiem mógł sejm, jako wyraziciel opinji kraju, mieć bez porównania większe znaczenie, niż to przewidywała ustawa, boć przecież rząd reprezentowanym był przez St. Potockich, Badenich, Woroniczów i innych, a przytem, jak to wiemy z Bignona, nawet rezydent francuski popierał czasami sejm wobec Rady Stanu, uważał go za jedną z potężnych dźwigni działania.

A, gdyby zresztą było inaczej, to podkreślić wypadało, że za Księstwa strona konstytucyjna była sprawą podrzędną, że niezwyczajną dla nas karność państwową znoszono chętnie, tak samo, jak znoszono biedę owoczesną, jak wojsko znosiło brak żołdu, w imię lepszej przyszłości.

Bo widocznem być musiało, że sam byt Księstwa, cóż dopiero jego ustawy konstytucyjne, jest zjawiskiem czysto przejściowem.

Istotnem zagadnieniem było polityczne, międzynarodowe.

Autor zbyt silnie zaakcentował szeroki zakres władzy Fryderyka Augusta, było to słusznem tylko formalnie: w myśl konstytucji Książę — panował zupełnie nad Radą Stanu; praktycznie jednak rzecz miała się inaczej. Rada Stanu była zależną raczej od rezydenta francuskiego, a, osobiście związany systematem Napoleońskim, Książe, o ile nie był odgłosem Rady Stanu, był wyrazem żądań rezydenta, żądań, podkreślmy to, najczęściej zgodnych z istotnym interesem kraju.

Najlepszy z Sasów, mimo wszelkie formy, był raczej cieniem panującego. W swej przemowie do wojska polskiego w r. 1813 Napoleon stwierdził to, mówiąc: „C'ect moi qui ai été votre véritable Duc". Mimo to Fryderyk August, dzięki swej dobroci wrodzonej i istotnej sympatji do Polski, znalazł sobie u nas grunt do działania: łagodził stosunki Francji i Rady Stanu, Rady Stanu i sejmu.

Szeroki zakres działania Rady Stanu — wynikał i wynikać musiał z ówczesnego położenia politycznego kraju, z tendencji uczynienia więcej sprawnym organizmu państwowego. Już jednakowoż w r. 1811 sejm zaczyna zdobywać sobie pewien wpływ na jej działalność.

Jeżeli Rada Stanu nie była odpowiedzialną wobec sejmu jako całość, jeżeli nawet odpowiedzialność poszczególnych ministrów była ograniczoną, to przecież faktycznie o ministrach sądził kraj cały, a miarą ich powodzenia były ostatecznie ich zdolności i zasługi. Dowodzą tego zmiany ministerjalne w r. 1811.

Z punktu widzenia polityczno prawnego organizacja taka była rzeczywiście wadliwą, odpowiadała ona jednak dobrze potrzebom owoczesnym. Rada Stanu była wyborem zdolności narodu, społeczeństwo na nic lepszego zdobyć się nie mogło. Jeżeli działalność Rady Stanu podlega dziś krytyce, liczącej się zresztą z naturą naszego związku z Napoleonem, to — bierze się pod uwagę stan owoczesnego wyrobienia politycznego narodu.

Konstytucja nie zabezpieczała wolności mienia i druku, ale o konfiskatach mowy nie było, a o cenzurze owoczesnej nic jakoś nie wiemy. Głośna sprawa Kuczyńskiego dowodzi, że z zasadą wolności słowa liczono się w najdrażliwszych nawet wypadkach.

P. Konic w poprzedniej swej pracy wykazał, jak rzetelną i głęboką pracę narodową prowadziła Izba Edukacyjna, o której istnieniu słowem nie wspomina Ustawa r. 1807. O pracy ludzi Księstwa, autor i obecnie wyraża się z uznaniem, my musimy podkreślić fakt, że ustawa nie kładła tamy podobnym usiłowaniom, zaprowadzając zaś równość wobec prawa, dopuszczając mieszczan do sejmu, nadając ludowi wolność osobistą — popierała rozwój normalny społeczeństwa.

Równocześnie zaś zabezpieczała w interesie sprawy polskiej — sprawność organizmu państwowego.

Te dwa względy winny być zawsze miarą sądu o dziele r. 1807.

Praca zresztą p. Konica nie grzeszy bynajmniej jednostronnością kierunku, autor swój sąd prawno polityczny — łagodzi na każdym kroku zastrzeżeniami rzeczowemi. Przedstawienie zaś w zwięzłym, jasnym całokształcie organizacji Księstwa, przytoczenie wielu ciekawych szczegółów wydobytych z archiwalnych dokumentów, czynią z pracy p. Konica — cenny nabytek dla szczupłej literatury Księstwa.

Wacław Tokarz.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.